

PROSCENIUM



TEATR MŁODZIEŻOWY
SPOTKANIA TEATRALNE ZWIERCIADŁA
FRONC O KLĄTWACH
NOWAK O *DOKTORZE DOLITTLE*
SIWEK O BEZDOMNOŚCI



fol. materiały prasowe

Jest w tym przedstawieniu coś niepokojącego, ale szczerego zarazem. Atmosfera końca życia, odejścia, kresu, powolnego rozkładu, ale podana z humorem, lekko, bez patosu.

Oto poznajemy kilkoro starszych ludzi, którzy opowiadają nam ze sceny o swoim życiu. Niespiesznie, w tempie wlokącym się. Wykonano tych bohaterów – lalki w technice muppetów – niezwykle sugestywnie, z dbałością o każdy szczegół. Dość powiedzieć, że w mdłym świetle sceny łatwo się nabrać – tu ogromna załuga animatorów – że oto rozmawia z nami starszy człowiek, a nie lalka. Osoby będące u kresu życia opowiadają nam o swoich perypetiach, o życiu w domu spokojnej starości gdzieś pod Lwowem, o marzeniach, planach (sic!), mimo że mają przecież już skończone osiemdziesiąt lat. Ich narracja jest nieciągła, fragmenty urywane, niedokończone, powracające – pamięć bowiem zawodzi.

Nasi bohaterowie są animowani przez młodych ludzi, którzy w pewnym momencie zrzucają z siebie materiał. Widzimy wtedy dwudziestoparoletnie osoby, tańczące w parterze, pośród porzuconych artefaktów starości, w pyle sceny. Ciekawa to zresztą scena, scena starego Teatru Łesi Ukrainki,

z reflektorami pamiętającymi jeszcze powojenną władzę sowiecką, z odrapanym horyzontem sceny, przetarciami, sypiącym się tynkiem. Tak więc wszystko tu ze sobą gra, upływ czasu odczuwamy niemal fizycznie.

Widownię wypełnioną do ostatniego miejsca stanowią głównie młodzi ludzie. Ten spektakl to we Lwowie wydarzenie, środki zebrano dzięki pomocy widzów na portalu społecznościowym. Starannie wykonano lalki, stworzono dramaturgię, nagrano wypowiedzi osób będących w jesieni życia, by podczas prezentacji puszczać je z nagrań przez głośniki ukryte gdzieś w środku lalek.

Wiele tu jest nostalgii, tęsknoty za minionym, za tym, co już nie powróci, sporo tłumionej rozpacz. I maestrii w prowadzeniu swoich bohaterów. Te maleńkie kroczki, ta powolność w ruchu, zastanowienie, pauzy – i przyspieszenie, gdy powraca pamięć młodości. To szuranie, wzajemne docinki, jazda na wózku inwalidzkim, ogromna chęć dalszego życia, ale i pogodzenia z losem.

Marzy mi się, by któryś z naszych festiwalu zainteresował się tą odolną lwowską inicjatywą i zaprosił młodych ludzi do Lublina. Temat jest obecnie nośny: jesień życia, odejście, kres – tutaj podany w wyrafinowanej formie plastycznej, w ciekawej oprawie, niebanalnie. ■

ŁUDZIE TEATRU

MACIEJ BIELAK

ARCHIWISTA

Lokal archiwum zakładowego Centrum Kultury w Lublinie znajduje się na drugim piętrze budynku przy ul. Pełowiaków. Jest to wypełniony pudłami archiwalnymi pokój o powierzchni ok. 30 metrów kwadratowych. W arkany składnicy akt lubelskiego CK wprowadza mnie Roman Olender, archiwista tej instytucji.

Z danych na 2015 rok wynika, że w archiwum znajduje się ok. 45 metrów bieżących dokumentów. Jak wyjaśnia Roman, 7,5 metra to dokumenty kategorii A, czyli akta przechowywane wieczyście, a 38 metrów dokumentów należy do kategorii B, które po pewnym czasie – ściśle określonym w przepisach – powinny zostać wybrakowane. Romek pokazuje mi najstarszy dokument znajdujący się w tutejszym archiwum – plan inwentaryzacyjny części budynku z 1959 roku. Moją uwagę przykuwają też dwie obszerne kroniki Lubelskiego Domu Kultury (poprzednika Centrum Kultury) z lat 1984–1987 oraz 1988–1991. Ilość dokumentów dotyczących teatrów funkcjonujących w ramach CK jest jednak stosunkowo niewielka. Cały zasób dokumentujący działalność kulturalną jednostek CK znajdujący się w tutejszym archiwum składa się z kilkudziesięciu pudeł archiwalnych. Są to w większości źródła dokumentujące kolejne edycje festiwalu *Konfrontacje Teatralne* i *Sąsiedzi*. W teczkach dotyczących tych wydarzeń znajdują się np. programy, materiały promocyjne, artykuły prasowe czy

rys. Michał Nakoniczewski

Co pan uważa na temat odebrania immunitetu sędziom?



Teatr im. Łesi Ukrainki we Lwowie
Jesień na Plutonie
Reżyseria: Saszko Brama
Projekty lalek: Oksana Rossol
Pokaz: 25 stycznia 2017 roku

Bartłomiej Miernik – absolwent wiedzy o teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie.

Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Maciej Bielał, Luiza Nowak, Katarzyna Fronc, Ewa Jemioł, Daria Lytvynenko, Monika Błaszczak (korekta), Karolina Bielał (media społecznościowe)

Współpraca: Kornelia Kurach, Martyna Zięba, Łukasz Witt-Michałowski, Bartosz Siwek, Michał Nakoniczewski

Skład i DTP: Katarzyna Długosz

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie

Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin

gazetaproszenium@gmail.com

f proszenium.lublin

Druk: Baccarat

Nakład: 800

Na okładce zamieszczono zdjęcie ze spektaklu pt. *Błąd*, Teatr NOTOCO z Kraśnika, fot. archiwum teatru.



WARSZTATY KULTURY



fol. archiwum prywatne Romana Olsendia



fol. archiwum II L.O. w Lublinie

KRÓTKO O ZWIERCIADŁACH

KORNELIA KURACH

ulotki, ale można też natrafić na takie smaczki jak kosztorys wykonania masek do spektaklu.

– Część dokumentów znajduje się też w poszczególnych jednostkach CK (osobne archiwum ma np. Galeria Biała), które wykorzystują je do bieżącej działalności artystycznej i naukowej – dodaje Roman.

Jakie dokumenty w takim razie znajdują się w archiwum lubelskiego CK? Głównie administracyjne, księgowe i kadrowe, a także dokumentacja budynku, w którym działa Centrum Kultury. Czy praca z takimi materiałami jest nudna? Wręcz przeciwnie. Mój rozmówca wyjaśnia to na przykładzie. Pokazuje mi raport kasowy, z którego wynika, że na jeden ze spektakli sprzedano wyłącznie bilety ulgowe, co oznacza, że prawdopodobnie był to spektakl dla grupy szkolnej. Z kolei na inny spektakl sprzedano tylko jeden bilet, więc – jak wyjaśnia Romek – można przypuszczać, że spektakl albo został odwołany, albo było na nim dużo osób z zaproszeniami.

– Czasami praca archiwisty przypomina pracę Sherlocka Holmesa – puentuje entuzjastycznie Roman.

Typowy dzień pracy w archiwum CK nie różni się wiele od pracy innych archiwistów. Do zadań Romana należy m.in. uzupełnianie kontrolki temperatury i wilgotności w pomieszczeniu, porządkowanie akt, opisywanie teczek czy konserwacja dokumentów. Oprócz tego wykonuje jednak szereg innych prac – jest administratorem bezpieczeństwa informacji, prowadzi Biuletyn Informacji Publicznej, a czasem w zastępstwie za kolegów oprowadza grupy po budynku CK. Ale Roman nie narzeka.

– Dzięki pracy w archiwum CK w Lublinie mogę prześledzić rozwój instytucji kulturalnych, które bardzo szanuję, i oglądać dokumenty niedostępne w żadnym innym miejscu – podsumowuje. ■

Maciej Bielałak – absolwent historii i politologii UMCS.

Festiwal *Zwierciadła* odbywa się w marcu już od czternastu lat w tym samym miejscu, w którym został wymyślony, czyli w II Liceum Ogólnokształcącym im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie. Wszystko rozpoczęło się z inicjatywy młodzieży. W budynku istniała już scena, więc uczniowie klasy artystycznej zaproponowali, by zorganizować teatr. A w 2004 roku – pierwsze Spotkania Teatralne *Zwierciadła*. Od początku wspierała licealistów polonistka, pani Katarzyna Józwick. Na początku był to międzyszkolny przegląd teatralny, w którym wystąpiły nieliczne grupy uczniowskie. Z roku na rok w wydarzeniu brało udział coraz więcej zespołów teatralnych i powoli stawał się on festiwalem o zasięgu ponadwojewódzkim. Zaczęły brać w nim udział grupy teatralne nie tylko ze szkół, ale i z domów kultury.

W 2007 roku powstała fundacja TEAM Teatrikon, która stała się partnerem *Zwierciadła* – i to ona promowała wydarzenie w innych miastach. W kolejnych latach powstał projekt *Spotkajmy się teatralnie!*, który jest siecią festiwali teatralnych dla młodzieży ponadgimnazjalnej z całej Polski. Od 2012 roku podobne wydarzenia odbywają się w Rzeszowie, Olsztynie, Białymstoku, Warszawie i Bydgoszczy.

Lubelski festiwal staje się coraz bardziej znanym wydarzeniem na mapie kulturalnej miasta i województwa. W ostatnich latach w konkursie bierze już udział nawet ponad dwadzieścia grup. Zwycięski spektakl prezentowany jest później na Ogólnopolskich Spotkaniach Teatralnych *Zwierciadła*. Co roku szkoła dba o profesjonalne nagłośnienie i oświetlenie. Zaprasza też jury, w którym zasiadają osoby związane z lubelskim teatrem – m.in.

Jerzy Turowicz, Mieczysław Wojtas, ks. Mariusz Lach. Oprócz tego występy ocenia też młodzieżowe jury, które tworzą uczniowie lubelskich szkół. Poza głównym konkursem, program co roku przewiduje też warsztaty dla uczniów (dotyczące gry scenicznej, improwizacji, ruchu i słowa), spotkanie z gościem specjalnym, występy pozaszkolnych grup teatralnych czy klub festiwalowy. Wśród gości specjalnych podczas kolejnych edycji byli: Leszek Mądzik, Janusz Opryński, Bartosz Opania, Paweł Passini, Jacek Król, Adam Woronowicz, Mateusz Nowak.

Festiwal to również długie przygotowania, które dają uczniom możliwość sprawdzenia się w organizacji takich wydarzeń. Wolontariusze tworzą grupy odpowiedzialne za poszczególne działania. Obejmują one promocję, program, obsługę techniczną, media, poszukiwanie sponsorów. Tworzenie gazety teatralnej, dokumentacji fotograficznej, filmów czy strony internetowej – wszystko to integruje młodzież we wspólnym działaniu. Obecnie nad festiwalem nadal czuwa pani Katarzyna Józwick, a także pani Anna Maliszewska-Pokrzywa. Wokół wydarzenia co roku skupia się nawet osiemdziesięciu wolontariuszy. Pokazuje to, jak uczniowie angażują się w tworzenie festiwalu – chcą i potrafią organizować go dla siebie i innych. Tegoroczna edycja odbywa się w dniach 8–10 marca 2017. ■

Kornelia Kurach – absolwentka filologii polskiej KUL.

MOŻNA ABSOLUTNIE WSZYSTKO

Z MONIKĄ NITKIEWICZ I PAWŁEM BEDNARCZYKIEM O TEATRZE MŁODZIEŻOWYM ROZMAWIAJĄ MONIKA BŁASZCZAK I BARTŁOMIEJ MIERNIK.



foto: Grzegorz Żak

Monika Błaszczak: Czym tak właściwie jest teatr młodzieżowy, co jest dla niego charakterystyczne?

Paweł Bednarczyk: Jego istotą jest niedoskonałość. Teatr młodzieżowy to „teatr amatorski” – czyli z zasady tworzony przez amatorów – i w tym cały jego urok. Nie jesteśmy podpięci pod żadną linię programową, nie mamy dyrektora teatru, który by nam coś narzucał. Do teatru ciągnie nas pasja.

Bartłomiej Miernik: A pamiętajmy, że amator to z łaciny miłośnik – od słowa kochać: *amo, amare*. To tak naprawdę niezwykle pozytywne słowo i bardzo chciałbym, żeby wszyscy tworzący sztukę byli amatorami. Miłośnikami.

M.B.: Jak wygląda dobry spektakl teatru młodzieżowego?

Monika Nitkiewicz: Przede wszystkim mówi o problemach, które młodzież sama sobie wybrała do opracowania. W naszym krańskim teatrze NOTOCO mamy spektakle autorskie, więc nie musimy się do niczego dostosowywać, tylko po prostu sami układamy przedstawienie od początku do końca. Wtedy spektakl jest o tym, co nam w duszy gra, co młodzież sama chce przekazać, co ją nurtuje, co boli, z czym się zgadza lub nie.

M.B.: Często podkreśla się, że teatry młodzieżowe powinny poruszać właśnie problematykę młodzieżową.

P.B.: Poniekąd tak, chociaż często jest to błędnie interpretowane. Ludzie chcą zrobić spektakl kontrowersyjny, o młodzieży zdemoralizowanej, która bierze narkotyki, pije, jest agresywna i tak dalej. Zdarzają się wyjątki, natomiast najczęściej twórcy takiego przedstawienia mają tendencję do nienaturalnego dociskania, wyjaszkawienia tematu. No bo nie oszukujemy się, ostre narkotyki nie są problemem, z którym większość młodych ludzi styka się na co dzień. Uważam natomiast, że scena jest doskonałym miejscem do wypowiedzi

dla młodych, którzy często mają może słabszy kontakt z rodzicami, przeżywają okres buntu, w szkole też nie mają okazji do wyrażenia siebie. Właśnie dlatego bardzo dobrze wspominam moje liceum, bo było tam miejsce, w którym mogłem otwarcie powiedzieć, co mnie rusza, jaki mam problem: scena.

M.N.: Moja grupa porusza czasami dosyć kontrowersyjne tematy. Zawsze na przeglądach teatralnych miałyśmy dyskusje z jurorami, którzy pytali, co takie niewinne dziewczynki wiedzą na temat pobytu w poprawczaku. Nie, nie były w poprawczaku, ale spotkały koleżankę, która była – i to je w jakiś sposób dotknęło. Nie zgadzam się, że teatr młodzieżowy musi być tylko o tym, czego młodzież doświadczyła bezpośrednio.

M.B.: Jak wygląda wasza organizacja pracy przy spektaklach?

M.N.: Jestem nie tylko instruktorką teatralną w domu kultury, ale też nauczycielką w szkole – i przez kilka lat prowadziłam tam teatr. Moim zdaniem ciekawiej pracuje się z młodzieżą w domu kultury, bo tam uczęszczają osoby, które naprawdę chcą coś zrobić, a w szkole często jednak dzieciakom zależy po prostu na ocenie. Chociaż tworzenie spektaklu z klasą to też jest fajne doświadczenie, nawiązuje się wtedy zupełnie inną relację z młodzieżą, nie taką nauczyciel–uczeń.

P.B.: W zeszłym roku zrobiłem dwa spektakle. W jednym – *Pęd* – występowałem tylko jako reżyser, a w drugim – *Drabina* – również zagrałem. Ten drugi robiłem z ludźmi, z którymi dobrze się znałem, więc nie było między nami relacji wyższości. W przypadku tego pierwszego okazało się jednak, że umiejscowienie reżysera w teatrze amatorskim jest bardzo trudne, bo trzeba znaleźć balans między zabawą i pewnymi zasadami, których nie można łamać. Od najmłodszych osób byłem starszy

o dwa lata i momentalnie się z nimi zakumplowałem, więc próby zaczynałyśmy od tego, że sobie po prostu rozmawialiśmy, śmiałyśmy się... Bardzo trudne było wtedy wprowadzenie dyscypliny i wejście na scenę. Czasem to zajmowało godzinę. Jednocześnie wiedziałem, że jest to potrzebne, bo absolutnie nie chciałem występować w roli złego pana, który stoi ponad nimi. Zabawna sytuacja, bo miałem wówczas przeprowadzić warsztaty pantomimiczne, żeby wyłonić osoby, z którymi zrobię spektakl. Ale w szkole zapowiedzieli mnie przez radiowęzeł: „Warsztaty poprowadzi pan Paweł Bednarczyk”. Pomyślałem, że to jest przecież jakaś katastrofa, bo ludzie dojdą do wniosku, że przyszedł do nich jakiś pan aktor – a ja byłem w trzeciej klasie, byłem ich kolegą! Zdawałem sobie sprawę, że ja sam się jeszcze uczę. Chociaż jednocześnie raz na jakiś czas musieli się mnie posłuchać. Podpisujemy się pod tym, słabej rzeczy nie będziemy pokazywać, musimy mieć przekonanie, że to, co zrobiliśmy, jest dobre.

B.M.: To przekonanie czasem bardzo przeszkadza w wystuchaniu uwag. Jako juror takich przeglądów miałem często przypadki, że bardzo delikatne moim zdaniem uwagi powodowały awanturę albo totalne zamknięcie się w sobie.

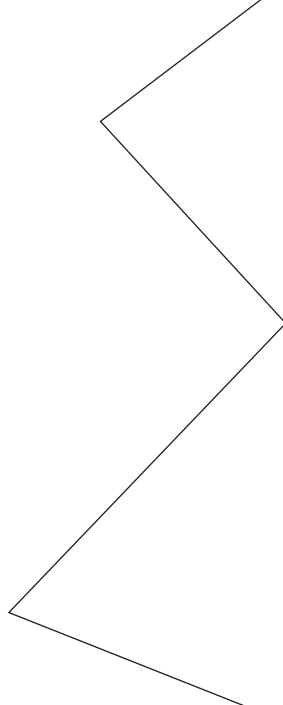
P.B.: Tak, ale musimy wyjść na scenę ze świadomością, że to, co zrobiliśmy, jest dobre, bo inaczej nam słabo pójdzie i widz to wyczuje. A w teatrze widz odgrywa znaczącą rolę. To dla niego wychodzimy przecież na scenę.

M.B.: Kim jest ten widz? Dla kogo robicie spektakle?

B.M.: Czy przypadkiem żywot takiego przedstawienia nie kończy się po kilku pokazach dla rodziny i znajomych – oraz trzech festiwalach teatralnych w województwie?



foto: Paulina Moroz



M.N.: Jak grupa już istnieje parę lat, to pojawia się niebezpieczeństwo, że zaczyna się robić spektakle pod przegład. Po iluś festiwalach zna się już opinie jurorów i zespół zaczyna kombinować, jak się przypodobać. Ale odbiorcą jest przede wszystkim rówieśnik danej grupy. Robimy to też dla siebie, bo sama praca nad spektaklem jest już fajnym procesem. Na koniec roku spektakl umiera, czasami zmienia się skład grupy, czasami spektakl grającym się zwyczajnie nudzi.

PB.: Nie jest się uwiązany. W teatrze dyrektor powie, że spektakl zagramy sto razy, więc gramy. Od tego w teatrze młodzieżowym trzeba uciekać. W Panopticum jeden spektakl zagraliśmy piętnaście czy osiemnaście razy i błagaliśmy już, żeby go zmienić, na co pan Wojtas mówił: „Ale to się podoba”. A my odpowiadaliśmy: „Ale nam się nie podoba”. Myślę, że głos przeważający powinien należeć w takiej sytuacji do grupy. Dlatego repertuar teatrów młodzieżowych zmienia się dość często.

B.M.: A co, kiedy wasze propozycje rozmijają się z oczekiwaniami publiczności? Jeśli w spektaklu padają wulgaryzmy, a występujecie przed publicznością mam, cioc, babć, to podejrzewam, że część widowni może to zaskoczyć. Czy teatr młodzieżowy jest pruderyjny? Czy nie jest nazbyt zachowawczy?

PB.: Jak się wychodzi na scenę, to trzeba wiedzieć, że można tam zrobić absolutnie wszystko, ale trzeba też umieć uzasadnić, dlaczego się to zrobiło. Brak balansu między tymi dwiema zasadami powoduje, że teatr jest albo zbyt zachowawczy, albo zbyt dociśnięty, i to czuć.

M.B.: Młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy, że pewne rozwiązania wyglądają po prostu sztucznie, bo nie oglądają innych spektakli. Nie wiedzą, skąd czerpać inspiracje.

B.M.: Młodzież jak młodzież, ale instruktorzy nie wiedzą. Obejrzałem zaskraszającą ilość spektakli młodzie-

zowych autorstwa instruktorów, którzy mają jedynie jakieś wyobrażenie o współczesnym teatrze. Estetyka przełomu lat 80. i 90. w wydaniu aktorów nieprofesjonalnych, pokazywana w 2017 roku, staje się synonimem piekła. Oglądałem na przykład *Pana Tadeusza* przepisanego na hip-hop, zrobił go pięćdziesięcioletni pan, który uważał, że my – jurorzy – się go czepiamy, bo on przecież zrobił to bardzo współcześnie. Najgorzej, kiedy właśnie nie ma tej inspiracji, instruktorzy nie czytają, nie oglądają, tylko „robią teatr”.

M.N.: Trzeba przede wszystkim pokazywać młodzieży jak najwięcej. Jak jesteśmy na przeglądzie, to każę moim dziewczynom oglądać wszystko. Nie zawsze jest możliwość, żeby młodzież zawozić do teatru, ale staram się, żeby jak najwięcej teatru przyjechało do nas. Bo teatr nie bierze się z próżni. Młodzież nie będzie się rozwijać, jeśli ktoś nie popchnie jej w odpowiednim kierunku, trzeba ją troszeczkę nakierować.

M.B.: Mówiliśmy, że w teatr młodzieżowy jest wpisana niedoskonałość. Jak więc oceniacie te nie najlepsze spektakle? Szczerze krytykować, czy jednak docenić, że młodzi ludzie poświęcili swój wolny czas na zrobienie czegoś twórczego?

PB.: Ja generalnie nie uznaję czegoś takiego jak „docenianie starań”. Mojej grupie powiedziałem na samym wstępie, żeby przed krytyką nie zastaniali się tym, że „się napracowali”. Można się napracować i robić przez pół dnia ciasto, ale jak się jest słabym cukiernikiem, to wyjdzie zakalec. Może jak dziecko ma 5–6 lat, to jego mama zje tego zakalca i powie „Pyszne, bo się postarałeś”, ale generalnie to ciasto ma być przecież smaczne.

B.M.: No właśnie, ale czy przypadkiem tą szczerą krytyką nie możesz kogoś zamknąć, oddalić od teatru?



Bzd. Teatr NOTOCO z Kraśnika

M.N.: Daleka jestem od tego, żeby komuś robić krzywdę. Żle bym się czuła, gdyby ktoś mi powiedział: „Jesteś do kitu”. Jako instruktor muszę tak pokombinować, żeby dziecko poradziło sobie ze swoim zadaniem. Kiedy robiłam spektakl w klasie, to wszyscy chcieli wziąć w nim udział, żeby dostać piątki, ale niekoniecznie każdy chciał występować na scenie – więc niektórzy robili dekoracje, obsługiwali sprzęt. Każdy czuł się potrzebny i nie robił tego, czego nie lubi robić. Miałam kiedyś w grupie teatralnej dziewczynkę z fatalną wadą wymowy, nie wymawiała jednej głoski, ale dobrze się bawiła na scenie, więc zmieniałam jej kwestie tak, żeby tej głoski w nich nie było.

B.M.: To też pytanie, na ile jesteśmy instruktorami, a na ile pedagogami, psychologami, powiernikami. Mam wrażenie, że trochę też zdejmujemy z młodzieży blokady, pomagamy osobom, które mają problem z otwartością w życiu prywatnym.

M.N.: Mam grupę, z którą pracuję już siódmy rok. Dziewczyny zaczynały, jak były w czwartej klasie, teraz są w drugiej liceum. Jedna z nich powiedziała mi: „Jejku, to pani jest z nami już przez większość naszego życia”. Po tych osobach bardzo widać rozwój – a to jest chyba najważniejsze w takiej grupie teatralnej. Dzieci stają się inne, rozkwitają na scenie. Teatr bardzo dużo daje, jeśli chodzi o rozwój osobisty młodego człowieka – bo to, co robi na scenie, przekłada się na to, co robi w życiu. A to, czy ktoś zostanie aktorem, czy nie, to sprawa drugorzędna. ■

Monika Nitkiewicz – nauczycielka, instruktorka, reżyserka, prowadzi Teatr NOTOCO w Centrum Kultury i Promocji w Kraśniku.

Paweł Bednarczyk – student dziennikarstwa UW.

Monika Błaszczak – studentka edytorstwa KUL.

KRAJ STOSEM PŁONĄCY

KATARZYNA FRONC



foto: Natalia Kabanow

Pierwsza tegoroczna premiera Teatru Osterwy miała zapewne wpisywać się w ideę teatru odpowiadającego na aktualne problemy społeczno-polityczno-ideologiczne. Będzie więc na scenie polski diabeł, będzie i fanatyzm przez duże F, a jak fanatyzm, to wiadomo, że w parze z chrześcijaństwem, skrajnym nacjonalizmem i byciem pro-life. Będą czarownice, trochę siarczystych wulgaryzmów, jeszcze więcej mroku i ogrom wrzasku – dosłownie i metaforycznie. Miało poruszyć, to pewne. Miało, ale nie wyszło.

Trzygodzinny spektakl składa się z dwóch części. W pierwszej oglądamy *Kłątę* Stanisława Wyspiańskiego. Historię mieszkańców Głęboszowa dotkniętego plagą suszy, spowodowanej grzesznym żywotem kapłana romansującego z gospodynią, podano w maksymalnie uwspółcześnionej interpretacji. Robotnicy (u Wyspiańskiego pracujący w polu) przeistoczyli się w budowlańców przy betoniarce, w kombinizonach, z telefonami u boku, w międzyczasie grających w siatkówkę. Nadzoruje ich pracę seksowna Młoda (gospodyni księdza, matka ich dwójki dzieci – w tej roli Halszka Lehman) w sportowej sukience i butach nike. Mieszkańcy wsi, idąc za radą pustelnika, pragną przebłagać Boga za hańbiące czyny księdza stosem ofiarnym, w wyniku czego stają się bojownikami z bronią w ręku i kartką z napisem „Jestem chrześcijaninem” na piersi.

W drugiej części spektaklu (stworzonej na podstawie dramaturgii Artura Pałygi) poznajemy historię Anny Szwedyczki (w tej emocjonalnej roli Jowita Stępniać), którą w 1678 roku w Lublinie skazano na śmierć poprzez spalenie na stosie. Pastwi się nad nią grupa mężczyzn z diabłem na czele,

którzy hołdują hasłu „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Kiedy w rozdzierających uszy i serce wrzaskach kobieta opowiada o torturach, jakich doznała, fanatyczni chrześcijanie, otaczając ją, odmawiają głośno *Zdrowaś Maryjo*, przyzywając Boga, który jeszcze bardziej ukarze heretyczkę. W końcowej scenie, w której ma spłonąć stos Szwedyczki, diabeł rzuca w stronę widowni zapalki, zachęcając do wzięcia udziału w egzekucji. A zachęcać raczej nie trzeba. Przecież żyjemy w kraju, który wciąż stawia stosy wszystkiemu, co inne. A lubuje się w tym przede wszystkim fanatyczna, chrześcijańska społeczność, której obce są miłość i miłosierdzie, natomiast dobrze znana jest diabelska nienawiść. W końcu Polska to piekło. Konkluzja jest właśnie taka.

Spektakl jest przytłaczający, mroczny, wszystko w nim krzyczy, nic nie przemawia. Jest przekonujący aktorsko, kreacje są wyraziste, zapadają w pamięć (zwłaszcza rola Janusza Łagodzińskiego jako diabła), ale to tyle. Wyspiański napisał dramat o tym, jak wielką, niszczącą siłę ma pożądanie (historia Księdza i Młodej). Postawił też pytanie: kim jest twój Bóg? W co wierzysz? Jednak twórcom *Kłąt* nie chodziło bynajmniej o te aspekty interpretacyjne. Akcent padł na fanatyzm, na zło w najczystszej postaci, na stosy, które wciąż płoną. A wszystko to w imię Jezusa Chrystusa. ■

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie
Kłąt
reżyseria: Marcin Liber
dramaturgia: Artur Pałyga
scenografia: Mirek Kaczmarek
Premiera: 14 stycznia 2017 roku

Katarzyna Fronc – studentka filologii polskiej KUL.

AHOJ, PRZYGODO!

LUIZA NOWAK

Gdy w styczniu wydaliśmy numer „Proscenium” dotyczący Teatru Muzycznego, wydawało się, że w Lublinie nie obejrzymy musicalu na odpowiednim poziomie. Jednak w tym samym miesiącu niespodziankę sprawił mieszczący się po sąsiedzku Teatr Andersena, którego najnowsza premiera udowadnia, że można małymi środkami stworzyć muzyczny spektakl, który jest jednocześnie mądry i przyjemny w odbiorze.

Przedstawienie jest adaptacją słynnej książki Hugh’a Loftinga, opowiadającej o przygodach rozmawiającego ze zwierzętami doktora Dolittle (Konrad Biel) i jego przyjaciół: papugi Polinezji (Katarzyna Borek), świnki Geb Geb (Wioletta Tomica), kaczki Dab Dab (Mirella Rogoza-Biel), małpy Czi Czi (Gabriela Jaskuła), psa Jipa (Piotr Bublewicz) i krokodyla (Bogusław Byrski). Wesoła grupa musi opuścić spokojne Puddleby, aby udać się do Afryki i uratować dotknięte tajemniczą chorobą małpy.

W spektaklu wykorzystano minimalistyczną scenografię, która składa się z zaledwie kilku stołów, w odpowiedni sposób ustawianych w poszczególnych scenach. Czasami służą one po prostu za zwykłe ławki, innym razem tworzą na przykład statek. Minimalistyczne są również kostiumy. Wykonane z materiałów takich jak poduszki, śpiwór, kaski czy kominiarki, podkreślają cechy charakterystyczne danych gatunków zwierząt. Początkowo można było mieć zastrzeżenia, czy tego typu symboliczne kostiumy będą czytelne dla najmłodszych. Jednak charakterystyczne kolory i zachowania postaci pozwalają na ich łatwiejszą identyfikację. W związku z tym na przykład zielony krokodyl często płacze krokodylimi łzami,

TO NIE JEST KRAJ DLA FEMINISTEK

LUIZA NOWAK

a różowa świnka Geb Geb jest ciągle głodna. Przygody bohaterów są przeplatane melodyjnymi i dobrze zaśpiewanymi piosenkami. Towarzyszą im dynamiczne układy choreograficzne. Są one dopełnieniem wydarzeń scenicznych, nadając im swobodny charakter. Część z nich nie jest przedstawiona w dosłowny sposób. Na przykład stado małą jest na scenie reprezentowane przez zaledwie kilka postaci, a pozostałe z nich są tylko zasygnalizowane. Podobnie jest z postacią dwugłowca (Daniel Arbaczewski), który zamiast rozbudowanego kostiumu ma kask, symbolizujący jego drugą głowę.

Zwierzęta doktora Dolittle to spektakl mądry, podkreślający wartości takie jak przyjaźń, życzliwość, bezinteresowność czy miłość i troska wobec zwierząt. Nie sprawia to jednak, że przedstawienie ma charakter moralizatorski. I mimo że sama podróż powrotna jest krótsza i mniej intensywna w porównaniu do tej z książkowego pierwowzoru, całość tworzy rozśpiewaną i przygodową opowieść. ■

Teatr im. H. Ch. Andersena w Lublinie
Zwierzęta doktora Dolittle

Reżyseria: Jerzy Jan Połński

Scenografia: Marika Wojciechowska

Premiera: 8 stycznia 2017 roku

Luiza Nowak – absolwentka prawa UMCS, studentka stosunków międzynarodowych tamże.

Zazwyczaj gdy wybieram się na spektakle grup amatorskich, towarzyszy mi uczucie niepewności i pewnego rodzaju niepokoju. Tak też było w tym przypadku. Spodziewałam się adaptacji utworu Aleksandra Fredry w dosyć klasycznej wersji. A twórcy już na początku zaskoczyli mnie pozytywnie samą formą spektaklu. Potem była jeszcze jedna niespodzianka.

Mimo że komedia powstała w XIX wieku, przedstawienie zostało uwspółcześnione. Nie ma więc bogatej, rozbudowanej scenografii. Ta ogranicza się tylko do ławki i trzech krzesel. Podobnie jest z kostiumami. Mężczyźni noszą długie, kolorowe spodnie, a kobiety spodnie i ciężkie buty. Świat przedstawiony odbiega bowiem od rzeczywistości dawnej Polski. Akcja dzieje się w Osieku, miejscowości, w której władzę sprawują kobiety. Zajmujące się domem gospodynie przejęły tzw. „męskie obowiązki”, zaś dom i dzieci zostały pod opiekę swoim mężom.

W tym czasie do miasteczka powraca z wojennej wyprawy Jan Doręba, który zabiega o względy Kasi. Związuje intrygę, która ma przywrócić „dawny porządek”. Pomagają mu w tym zdominowani przez żony mężczyźni oraz towarzysz broni, Bekiesz, który informuje bohaterki o domniemanym najeździe Tatarów. Te zaś, przerażone, oddają władzę mężom. Akcji towarzyszy muzyka grana na żywo na pianinie.

I wszystko wyglądałoby nawet całkiem znośnie, gdyby nie to, że dramatowi nie towarzyszy żadna refleksja. Kobiety są w niej ośmieszane i manipulowane przez mężczyzn, którzy uważają, że panie nie mają predyspozycji do „typowo męskich”



foto: Przemysław Bator

zajęć. Dlatego dziwny wydaje się już sam wybór utworu. Rozumiem, że ta grupa teatralna gra tylko klasyczne sztuki, jednak dlaczego – mając tak duży wybór – nie zdecydowała się na utwór aktualny w dzisiejszych czasach? W państwie, w którym kobiety od niemal stu lat mają prawa wyborcze, biorą czynny udział w życiu społecznym i politycznym, a na czele rządu stoi już trzecia w historii kobieta, wybór tej sztuki jest niezrozumiały. Gdyby twórcy zadrwili z tego tekstu, skrytykowali go lub pokazali swego rodzaju refleksję nad błędną tezą komedii, zrozumiałabym wybór. Patriarchalny, dawny sposób patrzenia na społeczeństwo jest podkreślony także w ostatniej scenie spektaklu, w której bohaterowie już po zmianie strojów tańczą poloneza i świętują powrót do „dawnego porządku”. I chociaż pada zdanie o „wzajemnej przyjaźni i szacunku”, bohaterki wracają do prac domowych, a mężczyźni do „poważnych, ważniejszych spraw”. Zdaję sobie sprawę, że ośmieszająca kobiety komedia może znaleźć odbiorców w pewnych grupach społecznych. Mam jednak nadzieję, że środowisko studentów nie utożsamia się z tymi poglądami. ■

Laboratorium Teatralne im. Heleny Modrzejewskiej

Gwałtu, co się dzieje!

Reżyseria: Witold Kopeć

Muzyka: Dymitr Harelau

Kostiumy: Małgorzata Stępnik

Premiera: 11 lutego 2017 roku

...MOJE TRZY GROSZE

BARTOSZ SIWEK



fol. Mateusz Kalinski

MENELE

Zasiedlają dworce, okupują ławki w parku i murki na placach. Plączą się bezradnie po ulicach. Brudne ręce dzierżą wytartą reklamówkę lub postrzępiony plecak. Nieistniejący w ewidencji, pośmiertnie nienazwani – NN. Ludzie cienie. Bohaterowie internetu i filmów dokumentalnych.

Pamiętam takie obrazy z lat minionych. Dworzec Katowice, końcówka lat osiemdziesiątych. Bufet, wmurowane w podłogę stołki i gorąca, ciepka na języku herbata. A przy sąsiednim stoliku dziwni ludzie, zastygli w nienaturalnych pozach – żywe rzeźby. Czuję strach, obrzydzenie, ciekawość. Dworzec Wrocław Główny, końcówka lat dziewięćdziesiątych. Hala główna. Ciągające się rzędy krzesel jak statki w zatłoczonej przestrzeni portu. W nich skuleni pod niewidzialnym ciężarem tkwią galernicy. Powolny upływ czasu. Dziewięć godzin dryfowania. Jestem podglądaczem, uczestnikiem rozmów i dramatów. Wzbudzam zainteresowanie tutejszych skazańców.

Kapcie i sweter. Jest mi ciepło i czuję się bezpiecznie. Migoczący ekran komputera hipnotyzuje filmami. Podglądam zmagania ich bohaterów z chorobą alkoholową. Piwo, które trzymam w ręku, wydaje się nie na miejscu. Odkrywam w sobie menela. Ja także chcę uciekać od cierpień rzeczywistości. Odczuwam niepokój i lęk, kiedy mój pieczołowicie konstruowany świat legnie raz po raz w gruzach. Podobnie jak oni, stosuję różne fortele i zabiegi, aby utrzymać swoją celę bezpiecznie zamkniętą przed światem. Rzeczywistość poraża swą powtarzalnością, monotonią upływającego czasu i domaga się ofiary ze mnie na rzecz innych. „Ja się boję przestać pić” – mówi Michał Waluda w filmie *Szczur w koronie* w reżyserii Jacka Bławuta. Parafrazując jego słowa i zmieniając je na bliskie sobie, wypowiadam: ja się boję zacząć żyć.

Kiedy widzisz menela, nie gardź nim i nie osądźaj. Jego cień czai się za każdym z nas. Strzęp człowieka skrywa dramat. Tak często godność ludzka wydana jest na żer youtuberom – śmieszne filmiki, jarmarczne widowisko ku uciesze gawiedzi.

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI



fol. archiwum autora

Nie brakuje natomiast świetnych dokumentów, w których twórcy zachowali człowieczeństwo swoich bohaterów. Wymienię tu jeszcze: *Lump* (reż. Piotr Borucki), serial *Ja, alkoholik* (reż. Jacek Bławut). Na uwagę zasługuje też inicjatywa kierownika Schroniska św. Brata Alberta dla Bezdomnych Mężczyzn we Wrocławiu-Tarnogaju, Dariusza Dobrowolskiego. Powstaje Cinema Albert Productions, grupa współtworzona przez bezdomnych z ośrodka. Do stworzenia tego zespołu filmowego przyczyniła się praca nad filmem *Żywoć Michała* w reżyserii Beaty Januchty. Dariusz uznał, że on i jego podopieczni też mogą kręcić filmy. Tak powstają: *Mój Manhattan*, *Człowiek, który morza nie widział* i wiele innych. ■

Bartosz Siwek – aktor Teatru im. H. Ch. Andersena w Lublinie.

LUBELSKIE SAN QUENTIN

Artyści z Teatru Provisorium spotkali go na festiwalu teatralnym w Edynburgu. Był cały wydzierany i siedział w ich wspólnej garderobie, do której wchodząc, myśleli, że pomylili miejsca. Nadawał się ze swoim wyglądem bardziej do oddziału zamkniętego na tzw. „enkach” (cele dla niebezpiecznych więźniów). Rick Cluchey, bo o nim mowa, to były więzień San Quentin, cudem wyrwany z otchłani dzięki interwencji Samuela Becketta.

Cluchey napisał do noblisty list, w którym prosił o zgodę na wystawienie jego sztuk w najcięższym z więzień świata. Skazany na dożywocie za napad z bronią w ręku, wyszedł po dwunastu latach, by stać się jednym z nielicznych przyjaciół pisarza, jego asystentem przy produkcjach w Schiller Theater w Berlinie i jednym z najoryginalniejszych scenicznych interpretatorów twórczości Irlandczyka na wiele lat po jego śmierci.

Probulosa z *Lizystraty* Arystofanesa poznałem w Areszcie Śledczym w Lublinie. Dzięki wsparciu życzliwych mu ludzi i naszej konsekwencji, udało się zorganizować jego wcześniejsze wyjście z miejsca odosobnienia. Był kolejno Ojcem w *Ostatnim takim ojcu* Pałygi i moim, Otellem w spektaklu *Już się Ciebie nie boję*, *Otello!* Lewickiej, *Złym*, *Tatą*, wy-

stępował u Passiniego, Adamczyka, Szczęśliwej i innych. Wykonał życiowy skok od ulicznika i gangstera na salony naszego establishmentu mieniącego się kulturą, po to by dowiedzieć się, że jako środowisko nie mamy na niego pomysłu. Praca nad sobą, która w innych okolicznościach skończyłaby się przyjaźnią z noblistą, na naszym podwórku jest znakiem zapytania: co dalej? Grywa od święta w naszych realizacjach, gdyż od święta grywamy. Pracuje z bezdomnymi, których w naszym mieście pełno, i ludźmi podobnie przez przeszłość pokiereszowanymi. Pracuje, z braku stałego etatu, dorywczo.

W roku jubileuszu miasta każdy zakłada związek wyznaniowy lub organizację pozarządową zajmującą się animowaniem kultury i kwestuje o dotację. W efekcie produkt artystyczny działań owych twórców jest wtórny wobec prawidłowego rozliczenia oraz tego, by zgadzały się tabelki. Nie wszyscy jednak potrafią odnaleźć się w urzędniczej papierologii i powoli zaczynają marnieć. I tak oto dyrektorzy instytucji kulturalnych w naszym mieście, inwestując w wydmuszki, nie zauważają prawdziwej wartości w postaci osób takich jak On.

Kilka lat temu zwróciłem się do szefa polskiego więziennictwa z pomysłem założenia spółdzielni dla byłych więźniów, którzy zorganizowaliby pracownię scenograficzną dla teatrów lubelskich. Rzec dawałaby pracę byłym przestępcom, włączając ich w działania kulturotwórcze i zapewniając chleb. Szef polskiego więziennictwa, świeżo przybyły z sejmu, gdzie zajmował się elektronicznym dozorem więźniów, rzekł: „Projekt ciekawy, ale nie ma na to programów europejskich i środków w budżecie”. Jak żyć z pieniędzy projektowych wiedzą chyba najlepiej urzędnicy, także ci od kultury, bo sami funkcjonują w systemie etatowym.

Od dekady miasto Lublin nie dysponuje etatem dla Dariusza Jeża – polskiego Ricka Clucheya. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.